

## Na wielkim okręcie wszyscy palą opium

Seweryn poznał Helenę zupełnie przypadkowo.

Była to sobota i syreny w stoczniach dawno już odgwizdały fajrant. Seweryn odebrał pieniądze w biurach „Baltica”, która klarowała „Victorię”. „Victoria”, amerykański transportowiec, przywozła drobnicę. Wyładunek trwał trzy dni, chociaż bunkry zawierały nie więcej jak półtora tysiąca ton ładunku. Były to auta z demobilu, trochę konserw, lekarstwa i paczki z odzieżą.

Seweryn z kieszeni rozepchaną otrzymanymi pieniędzmi i czekoladą od czarnego bosmana George’a poszedł na skwer Kościuszki – właściwie bez celu. Do domu, do Chylonii, gdzie odnajmował mały pokoik u znajomego robotnika portowego, nie chciał mu się wracać.

Była to już jesień. Od paru dni rozwlekły, jesienny sztorm nie pozwalał rybakom wychodzić w morze, tylko w basenie jachtowym harcerze na małych jolkach ze zrefowanymi żaglami kręcili się jednostajnie, ćwicząc zwroty. Ruch w porcie był mały i nie można się było spodziewać nowych statków. Gruby makler z „Baltica” bez wielkiego namysłu oświadczył, że w przyszłym tygodniu pracy nie będzie.

Skwer był pusty. Seweryn szedł środkiem zwirowanej alejki, po bokach, na rabatach, czerwieniły się jakieś kwiaty, których nazwy nie znał. W niewykończonym Domu Marynarza wiatr gwizdał w rusztowaniach, a obok zaraz w basenie maleńkajolka kładła się na wodę przy zwrocie. Przy końcu skweru przez wyszczerbiony falochron fala wdzierała się na zniszczone ocembrowanie i zalewała płyty chodnika. Wiatr tu był wściekły, trudno było nawet oddychać, Seweryn odwrócił się plecami do morza. Wtedy dostrzegł Helenę. Siedziała na rozwalającym się murku oparta o żelazną poręcz. Na wyprostowanych kolanach trzymała torebkę w sinych z chłodu rękach. Wydała się Sewerynowi niezwykle ładna. Zresztą nie miał wyrobionego gustu, jego dotychczasowe sukcesy ograniczały się do paru nieudanych flirtów, po których został niesmak i żal do własnego niedołęstwa.

Musiata chyba na kogoś czekać. Seweryn stwierdził z przyjemnością, że jest ładnie ubrana. Po bliższych oględzinach zauważył, że twarz jej jest trochę kozia. Nie mógłby tego spostrzeżenia sprecyzować, ale wrażenie to zostało mu na długo. Obciągnął faldy kombinezonu i zaczął przyglądać się beczelniej. Terkot holownika, który wchodził do basenu, dodał mu tylko otuchy. Czuł za sobą występ muru. Nie odrywając wzroku od Heleny, chciał usiąść. Zatoczył się i ciężko klapnął na spękany cement, a pył z rozbitej fali przesłonił na moment dziewczynę. Helena podniosła głowę i patrzyła na Seweryna, który odważnie wyjął z kieszeni tytoni i zaczął skręcać papierosa. Zagwizdał reżolutnie i biedził się z zapawkami, z których nie mógł wydobyć ognia. To go rozgniewało. Wstał i ścierając wilgoć z palców, podszedł do dziewczyny.

– Nie mogę zapalić – powiedział.

Helena uśmiechnęła się i podciągnęła pod siebie nogi.

– Rzadki sztorm – powiedział jeszcze raz Seweryn.

– I ja tak myślę.

– Dlaczego pani tu marznie?

– Czekam, aż przejdzie sztorm.

– Nazywam się Seweryn Sylwonowicz.

– Helena Rybak.

– Lubię się w taką pogodę napić.

– Nie mam zamiaru napić się z panem.

– Zmarznie tu pani.

– Już zmarzłam.

Morze huczało i białe grzywy zakwitwały na strzępiastych falach. Od zaropiałego nabrzeża, gdzie stała fabryka rybnej mączki, niósł się porywisty smród gnijących ryb.

Seweryn stracił naraz odwagę. Zaczerwienił się i, spojrzawszy w zachmurzone niebo, odrzucił w zamyśleniu papierosa.

Odwrócił się z zamiarem odejścia.

– Dlaczego pan odchodzi?

– Nie mam odwagi.

– Czego się pan obawia?

– Swojej śmiałości.

– Czy ma pan czekoladę?

– A skąd pani o tym wie, pani Heleno?

– Kto panu pozwolił mówić mi po imieniu?

– Pachnie tu nieprzyjemnie.

– Co z czekoladą?

Seweryn pomacał się po kieszeni i wyciągnął tabletkę obciążoną w przezroczysty celuloide. Ujęła uważnie i przełamała po połowie. Seweryn swoją część wsadził od razu do ust.

– Czy pani wierzy w przeznaczenie?

– Nie, ale pan wierzy.

Rozmowa wydała się Sewerynowi zabawna. Zaśmiał się długo i dotknął jej płaszcza, był wilgotny.

– Czy mogę pani zaproponować spacer?

– Tak myślę, panie Sewerynie.

– Bardzo się cieszę, że nazwała mnie pani po imieniu.

Ruszyli z powrotem skwerem. Seweryn mrugał szybko powiekami, usiłując podjąć rozmowę na nowo. Zniecierpliwiony ujął ją pod rękę i czekał dezaprobaty. Ale Helena oparła się tylko ciepło i powiedziała:

– Ma pan głupie, ale sympatyczne oczy.

Seweryn nadął się i wyjaśnił przekonująco:

- Mój ojciec był nauczycielem.
- To pana wcale nie usprawiedliwia.
- W czym?
- W zaczepianiu kobiet na ulicy.
- Pani wyglądała na zmarzniętą.
- Rzeczywiście zmarzłam trochę.
- Musimy się czegoś napić.
- Znam taką jedną knajpkę.

Seweryn nie był chłopcem odważnym. Urodził się w Lidzie, kiedy ojciec wyjechał w odwiedziny do krewnych w Grodnie. Matce Seweryna polecił sprzątnąć szkołę, w której był woźnym, i od dłuższego czasu nie dawał o sobie znaku życia. Pani Sylwonowiczowa między dzwonkiem na trzecią lekcję a dzwonkiem na dużą przerwę zdążyła powić Seweryna. Niemowlę dostało na imię Seweryn, żeby zrobić przyjemność panu kierownikowi Sewerynowi Wołkowskiemu. Sylwonowicz senior po powrocie do domu ucieszył się nowym nabytkiem, jednakże nie bez pewnych zastrzeżeń. Zastrzeżenia te sformułował dość trywialnie: – Żeby też z gówniarza nie wyrósł taki złodziej jak ja. Przepowiednie pana Sylwonowicza jednak się nie sprawdziły i Seweryn wyrósł na mazgajowatego młodzieńca, który nie czekając nawet na ukończenie osiemnastu lat, pewnej nocy pociągami towarowym drapnął z powiatowego miasta Lidy. Wylądował w Gdyni. Obijał się tu pewien czas, aż wziął go do pomocy pewien rybak. Pierwsze wycieczki morskie nie podobały się Sewerynowi. Musiał ciężko pracować, chorując przy tym na morskie dolegliwości. Z czasem się przyzwyczał. Potem przyszła wojna, podczas której dekokował się na wsi kaszubskiej. Po skończeniu wojny pracował jako robotnik portowy.

Ten brak odwagi ciążył mu fatalnie. Helena szła drobnymi kroczkami, a Seweryn chrzkał tylko kontemplacyjnie i splotał dyskretnie. Na wielkim szarym domu pstrzyła się olbrzymia reklama przedwojennej pasty do butów. Dochodzili do ulicy Świętojańskiej. Helena pociągnęła go za sobą i skręcili w boczną uliczkę. Na placu, u wylotu uliczki, stała karuzela. Paru marynarzy usadawiało swoje towarzyski na druczanych fotelach.

– To tu – powiedziała Helena, pokazując różową flaszkę z kieliszkiem na sztydzie.

– Dziękuję – podziękował nie wiadomo dlaczego Seweryn i przepuścił pierwszą Helenę. W knajpie było ciepło.

Kelnerzy w białych marynarkach przeginali się nad stołami, ustawiając żółtawe butelki i parujące dania. Ogromne półki z wódkami, jak potężna biblioteka, stanowiły tło dla chudego barmana o zmęczonych profesorskich oczach. Klienci pomrukiwali cicho nad marmurowymi stolikami.

Seweryn rozgrzany paroma kieliszkami wódki opierał się o stół i radośnie stukał pustą szklanką. Helena patrzyła pobłażliwie i z sympatią.

– Czy nie myśli pani, że samotność jest przykra? – spytał wyszukanie Seweryn.

– Nie, mój zawód wymaga ciszy i skupienia – odpowiedziała Helena, poprawiając kapelusz.

Seweryn stwierdził teraz z bliska, że płaszcz jej był już jednak mocno podniszczony.

Helena dotknęła wzrokiem jego poplamionego kombinezonu.

- Czy nigdy nie chciało się panu uczyć?
- Nie bardzo. Mimo to jednak zdałem matą maturę.
- A potem?
- Potem łowiłem ryby z wujem Jelonkiem.
- Dlaczego się panu nie chciało uczyć?

Seweryn błyskawicznie skorzystał z jakiejś dawnej lektury:

- Bo nauka ogranicza człowieka do jednej, najwyższej paru specjalności.
- Ja bym się chciała bardzo uczyć.

– Proszę bardzo – powiedział i wilgotnym od alkoholu palcem pokazał na zagubiony i śmieszny w portowej knajpie afisz: „Przez oświatę do dobrobytu mas pracujących”.

Kelnerzy szurgali kompetentnymi kamaszkami po kamiennej posadzce i, podnosząc tajemniczo palce z cząstkami kotletów pożarskich za paznokciami, wołali głośno i z zamysleniem:

- Dwa razy duża wódka...
- Befszyk z cebulką raz...
- Trzy piwa...

Fioletowy, zmarznięty celnik stuknął pomiętym palcem w blat stolika naprzeciwko Seweryna. Szczękały szklanki.

Seweryn zamówił jeszcze karafkę wódki, którą pili oboje długo, cedząc przez zęby szczypiący napój. Potem już było raźniej. Seweryn przewalał się konfidencjonalnie przez stół i przykrywał dłonią palce Heleny. Gest ten, aczkolwiek całkowicie przyjacielski, wymagał pewnej odwagi. Rzykował.

Zapalono lampy i Seweryn z cieniem abażuru na czole bódł oczami Helenę coraz odważniej. Odpowiadał coraz bardziej od rzeczy, ale ze zdwojoną fantazją. Oczy Heleny straciły pobłażliwość. Śmiała się często i patrzyła uważnie na wargi Seweryna. On szarpał papierową serwetkę i wydymał usta jak najkorzystniej. Symulował drganie policzka, żeby wydać się oryginalnym. Chwyty te były dawno przemyślane i podczas długich samotnych wieczorów w zielonym pokoiku Jelonka dokładnie wypróbowane.

Zaczęła grać orkiestra złożona z harmonii i mandoliny. Harmonista tupnął nogą delikatnie, żeby nie uszkodzić sfatygowanych półbucików i uśmiechał się do mandolinisty, którego długi zielonkawy nos opierał się wygodnie o mech czarnych zjeżonych wąsików.

– Pani jest strasznie sympatyczna – powiedział Seweryn, wywracając kieliszek z niedopitą wódką.

Helena uśmiechnęła się i poprawiła włosy.

Zdeterminowany opuścił dyskretnie rękę pod stół i niby przypadkiem dotknął jej kolan. Nie cofnęła. Seweryn głaskał, czując ściekającą na rękę wódkę ze stołu i nie wiedział, co począć dalej.

Fioletowy celnik śmiał się znacząco nad kuflem piwa.

Seweryn w ciepłej fali odwagi wpłynął ręką pod suknię. Wtedy kolana cofnęły się, a Helena z przyjemnym uśmiechem powiedziała:

– Nie można.

Ciepła i kwaśna woń wódki unosiła się gęsto nad stolikami. Barman z matematyczną precyzją liczył szklanki. Objijając głowę o ostrą krawędź cienia, Seweryn śmiał się dużo.

Potem zapłacili i wyszli.

Ulicą, naprzeciw, szedł patrol marynarki wojennej. Pepesze łysnęły kolbami przy mijaniu.

Seweryn przystanął i podniósł daszek czapki:

– Może myślisz, że nie byłem w konspiracji.

– To cóż z tego? – objęła go Helena.

Po namyśle pochylał się i pocałował ją w usta. Potem dłużej i sumienniej. Odwrócił się i, pokazując gwiazdy, otarł wargi.

– O! – powiedział.

Ciepła ręka Heleny wsunęła mu się do rękawa. Przypomniał. Objął i, całując, ujął za wyraźną pod swetrem pierś.

Zabuczała syrena okrętowa.

Seweryn podniósł rękę i opuszczonymi palcami wyjął z czarnozielonego nieba dwie gwiazdy.

– To tak jak u nas w Lidzie krzyczały żurawie – powiedział romantycznie.

Potem całował jeszcze i wreszcie z tremą oświadczył:

– Pójdę do ciebie.

– Nie trzeba – powiedziała Helena. Wysunęła mu się z rąk i, podniósłszy dłoń do ust, odchodziła. Przystanąła pod latarnią i zaczęła.

– Jutro o piątej przyjdź na skwer – krzyknął jeszcze Seweryn i śpiesznie dopadł cienia, bowiem dwie karafki wódki i częste piwa dawały znać o sobie.

Parę rzadkich gwiazd przykryły gęste chmury. W pogwizdach ciężkiego, zimnego wiatru słychać było niedaleki szum morza.

Mewy ocierały się o siwe ostre fale i kołowały nad Domem Marynarza, kiedy Seweryn w odświętnym ubraniu szedł skwerem. Między zielonymi rabatami przechadzali się żołnierze w granatowych beretach, którzy poprzedniego dnia przyплыli z Anglii.

Helena przyszła punktualnie. Na wieży urzędu meteorologicznego błysnęło ostatni raz, kiedy podniosła z daleka rękę na powitanie. Znowu terkotał holownik za plecami Seweryna.

Pojechali do Nowego Portu.

W prawie pustym autobusie konduktor liczący naddarte pięciozłotówki udawał, że nie dostrzega ich miłosnych manipulacji. W oknach towarzyszył monotony rząd niskich murowanych domków. Za Orłowem tylko błysnęły w szczerwieniałych drzewach pas ołowianego morza.

– Chciałbym tak stale z tobą jeździć – powiedział znacząco Seweryn.

Autobus podskoczył na wybojach szosy, a Helena obciągnąwszy sukienkę, uśmiechnęła się.

– My się z sobą doskonale rozumiemy – wyjaśnił słowami kosmicznej liczby zakochanych wszystkich epok.

Trzymali się ostentacyjnie za ręce i Sewerynowi było przyjemnie, kiedy pasażerowie spoglądali na ich stulone dłonie: jego obrzniętą, czerwoną i jej białą z długimi, krzywymi palcami.

W Nowym Porcie na wodzie kanatu, jak jesienne liście, trzepotały rudawe odbłaski zachodzącego słońca. Seweryn szedł z Heleną nabrzeżem, niedbale rozstawiwszy ramiona, co mu dodawało marynarskiego szyku. Zielony krawat w żółte grochy powiewał sennie na wietrze. Obciążone statki mijaly się, bucząc grubo, a zagraniczni marynarze oparci o poręcze gapili się po wypalonych składach nadbrzeżnych.

Bar „Pod Sternikiem” wabił z daleka wesołą muzyką. W oknie omszałe od kurzu butelki podrygiwały lekko w takt rżężącego jazzu. Weszli z fasonem. Seweryn przesunął niedbale wskazującym palcem czapkę na tył głowy i pchnął oszklone drzwi. Buchnął gwar dziesiątków przypalonych alkoholem głosów i smród niewietrzzonej knajpy. Z trudem znaleźli wolny stolik.

Tak jak wczoraj, zamówił Seweryn karafkę wódki. Uśmiechali się do siebie przedzieleni ceratową powierzchnią stolika. Potem konfidencjonalnie pogładził kolana Heleny pod stołem. Śmiała się.

Ospowaty kelner przyniósł butelkę i przekąski. Mrużąc oczy, grzebał się po blacie stolika i kiedy wreszcie znalazł tekturowe podstawki pod piwo, Seweryn wsadził już rękę za pończochy Heleny.

– Byłoby nam ze sobą dobrze – powiedział z przejęciem po odejściu kelnera.

Helena nie zaśmiała się. Jej wodniste oczy rozszerzyły się i błyszczały zielono:

– Gdybyśmy się tylko spotykali w niedziele.

– Nie, zawsze. Zawsze – upierał się Seweryn, rozlewając z przejęcia wódkę na stół.

Napili się i patrzyli na siebie.

Pośrodku stolika stała butelka z wódką. Mocno niebieska na owalnych brzegach, w środku ukazywała zniekształcone wnętrze baru. Kelner z rozdętą głową pochylał się nad stolikiem przyduszonym ciężką twarzą, rozszerzoną przerażającym uśmiechem. Spod wiśniowego laku główki butelki wyływały rzadkie krople napoju i, migocząc srebrzyście, zsuwały się po żółtawym od elektrycznego światła brzuchu flaszki. Sine dno przeświecało przez zielonkawą zawartość.

Orkiestra grała bez przerwy. Spocone pary podrygiwały przy boogie-woogie. Oparci na bufecie bosmani z marynarki wojennej pili wódkę. Olbrzymie pistolety dyndały im na tyłkach.

– Może zatańczymy? – zaproponował Seweryn.

Skinęła głową i zaraz zmieszali się ze skaczącą cizbą. Seweryn nie umiał dobrze tańczyć. Jednak alkohol na tyle wptynął na jego zdolności, że tańczył tak ochoczo i z takim impetem zawijał tancerką, aż wytworzyła się zaraz dokoła nich luka w tłumie. Bosmani nad bufetem kiwali się aprobująco.

Trochę zmęczony Seweryn zwolnił tempo i zaczął, z razu nieśmiało, potem coraz lepiej i wprawniej przyciskać Helenę. Śmiała się, nie broniąc, oczy jej straciły swój scepetyczny i nieufny cień.

– Mieszkalibyśmy gdzieś nad brzegiem morza, żebym miał blisko do łodzi i do sieci – szeptał dookolnie, a przecież jednoznacznie, całując dyskretnie jej trochę zapryszczoną skroń.

Helena uśmiechała się jak zawsze i patrzyła niewidząco na olbrzymią lampę elektryczną kiwającą się pod sufitem.

Potem znów usiedli przy stoliku i, patrząc na siebie, pili. Bosmani osłabieni wódką przewalali się po bufecie, ryczeli jakieś dowcipy, które ginęły w ogólnym wrzasku. Czasem sięgali do pistoletów. Tylko biesiadująca przy sąsiednim stoliku rodzina rybacka śmiała się głośno i przypochlebnie z ich żartów. Stary, zjedzony przez wiatry Kaszub podawał wódkę dwóm wyrostkom pętającym się przy stoliku. Brali wódkę z wprawą. Zastaniali lewą dłonią przybrudzone gorsy koszul, a prawą lekko wlewali alkohol do ust.

W rogu sali siedziało paru – na wygląd – rybaków. Szczególnie jeden, wysoki, już niemłody drab rżał głośno z własnych opowiadań i potrząsał ogromnym, ryżym łbem. W pewnej chwili odwrócił się i, dostrzegłszy Helenę, podniósł na przywitanie dłoń. Ale Helena pochyliła się nad stolikiem i, nie odpowiedziawszy, umoczyła wargi w piwie. Seweryn czekał pytająco, ale naraz zagrała orkiestra i wszyscy powstali do tańca.

Seweryn objął Helenę i schował dłoń w rękawie jej sukni. Ale uczuł, że ktoś go odciąga. Odwrócił się, przed nim stał rosty marynarz w wyblakłej wiatrówce i szwedzkiej czapce marynarskiej. Mocno zawiany, wrzeszczał po swojemu, że chce tańczyć i Seweryn może posiedzieć (ruch ręki w kierunku stolika). Seweryn zachnął się. – Co takiego, on ma siedzieć? Ale już Szwed, przytrzymując go wprawnie lewą ręką, na wskazujący palec prawej ręki nawijał zielony w żółte grochy krawat Seweryna. Sytuacja wydawała się poważna. Lekka mgiełka zamroczenia opadła i Sewerynowi zrobiło się gorąco. Przystąpił z nogi na nogę.

Ale wtedy ktoś klepnął Szweda po ramieniu. To był ten ryż drab z narożnego stolika. Stał skromnie, otrzepując pyłek z ponemieckiej bluzy. Za nim szczyrzyły zęby dwóch jego kompanów.

Szwed na chwilę zaniemówił. Ale kiedy od jego stolika podniosło się paru kolegów, zaczął się znów drzeć. Wtedy ryż zasurgął spokojnie nogami, jakby próbował wytrzymałość podłogi, i trzasnął Szweda pięścią między oczy.

Zaczęła się bitka. Seweryn, trącony, zdążył pociągnąć Helenę i padli pod stół, wstrzelawszy głowy między jego nogi. Ktoś przytomny strzelił butelką w lampę i w następującej ciemności prano się nad nimi. Dzwoniły bite naczynia. Ciężkie sapanie i charkoty przerywały długie marynarskie przekleństwa.

Seweryn, padając, przygniótł sobą Helenę. Leżał teraz twarzą na jej twarzy. Dotknął ustami. Odpowiedziała pocałunkiem. Rozzuchwiał się, przywarł ustami do jej górnej wargi. Gryząc i postępując, dał na niej suknię. Ona głaskała go po karku, a potem wsadziła rękę pod koszulę i spoconymi palcami wodziła po jego plecach.

Ktoś ciężko padł koło stolika i westchnął.

– Zaprawiają nożami – przemknęło Sewerynowi.

Ale zaraz znów przypiął się drapieżnie do jej piersi wyswobodzonej spod rozdartej

sukienki. Na ręce, którą opierał się o podłogę, poczuł mokre ciepło. Wódka albo krew.

Podniósł głowę, uderzając o kant stołu. Bito się zajadle, postępując jak przy młócce. Dojrzał wolny wąski korytarzyk wolnego przejścia do wpół uchylonych drzwi między walczącymi. Pociągnął Helenę i na czworakach przedarli się do wyjścia.

Na dworze ochłonęli. Helena zgarnęła rozdartą sukienkę i przysunęła się do Seweryna. Ale chłodne powietrze przywróciło im przytomność. Poszli wolno, dysząc ciężko.

– Kto to był ten, który uderzył Szweda? – zapytał wściekle Seweryn.

Helena wzruszyła ramionami.

Było ciepło. Gwiazdy mrugały na gęstym fioletowym niebie i w wodzie kanału. Pośrodku koszlawiły się ruiny wypalonych domów. W porcie buczały statki.

– Kto to był? – denerwował się Seweryn, ale kiedy nie otrzymał odpowiedzi, pociągnął Helenę i zaczął ją ze złością całować. Znowuz ogarnęło go gorąco na miejsce chwilowej zazdrości.

Na granatowej wodzie kotłowała się łódka. Zeszli do niej, drżąc z zimna i emocji. Z daleka, od baru „Pod Sternikiem” ktoś zaryczał nieludzko.

Ułożyli wiosta tak, żeby przykryć wodę zebraną na dnie. Potem Seweryn przygarnął do siebie Helenę, która знаła ryżego draba w ponemieckiej kurtce.

Gwiazdy mrugały cierpliwie, spryskiwane kłębami czerwonych iskier z lokomotyw przywożących węgiel z dalekiego Śląska. Ale Seweryn gwiazd nie widział. Chyba tylko ich odbicie w lepkiej, czarnej wodzie kanału.

W olinowaniu pobliskich barek skrzypiał północny wiatr.

Seweryn nie chciał wracać do baru. Ale Helena ujęła go za obie ręce i pociągnęła za sobą, opierającego się na sztywnych nogach.

– Chodź, już tam na pewno cicho. Ugrzejemy się – powiedziała, chociaż Sewerynowi palily policzki pod ściągniętą, wysuszoną przez wiatry skórą.

Gwiazdy mrugały znacząco i czasem odbiły się zielono w oczach Heleny, kiedy spoglądały na Seweryna z wdzięczną wyrozumiałością. Po zimnych kamieniach bruku przepłynął z chrzęstem kawałek papieru. Seweryn ziewnął i pomaszerował rażno, oparty na ciepłym ramieniu Heleny.

W barze „Pod Sternikiem” łopotała w drzwiach, zamiast szyby, szara płachta gazety. Na bufecie tliła się mała lampa naftowa, wydzielająca długą strużkę czarnego kopca. Na środku, przy świeżo już nakrytym stoliku, kiwał się ryży drab z zielonym guzem na pomiętym czole. Dwaj jego współtowarzysze spali w rozłożonych na czystym papierze rękach. Drzwi zadzwoniły rzewnie za wchodzącymi i przysadkowaty barman o twarzy kłeryka wychynął zza bufetu. Pokazał filuternie stos pobitego szkła, leżącego na blaszanym ogromnym półmisku i ciężko zwałił się na jakieś ukryte postanie za bufetem. Ryży podniósł głowę i zachichotał przyjacielsko do Seweryna.

– A, jesteś, gotąbeczku. Dobrześ zaprawił nożykiem tego Szweda. W samą porę drapnąłeś... He... he...

Seweryn dotknął ręki Heleny i wyprostował się.

– Nawet noża nie miałem ze sobą – powiedział urażony.



Ale ryży podniósł głowę i poważnie czknął:

– Dobry jesteś chłopak. Nazywam się Gotfryd.

Potem butelkę z niedopitą wódką stuknął kolejno śpiących po głowach.

– Ty, Franek, Eryk, facet przyszedł.

Kiedy Seweryn, przysunąwszy stołki, usadawiał się z Heleną przy rozbudzonych, Gotfryd poszedł do bufetu. Grzebiąc w jego czeluściach, zrzucił szklanekę. Rozprysła się z ostrym szczękiem. Odwrócił się i mrugnął ku siedzącym. Wyjął następnie dwa kieliszki, popatrzył pod światło. Wrócił, zataczając się mocno – ale zadowolony.

Rozbudzeni mrugali zaspanymi oczkami. Wiechy nastroszonych włosów chwiały się sennie nad czołami z czerwonymi odciskami guzików rękawa. Ryży, jeżdżąc na stołku, nalewał do kieliszków wódkę.

Ospowaty Eryk wskazał Seweryna grubym palcem:

– To on nożem?

Gotfryd skinął głową, a Seweryn syknął.

Ogromne ciężkie cienie huštały się na białej ścianie. Papuaska czupryna Ryżego sięgała niebieskiego szlaku, imitującego liście dębu.

Helena położyła rękę na kolanie Seweryna pod stołem. Uśmiechnął się zakłopotany.

– On jest bez pracy – powiedziała, a Seweryn znów syknął i rozczapierzył na ścianie cienie palców.

– Co robił? – zapytał Ryży, stawiając butelkę.

Helena przechyliła się nad stołem i, przymilnie przekręcając głowę, objaśniła:

– Rybak. Ostatnio pracował w porcie przy przeładunku.

Seweryn poszukał jej ręki i zacisnął palce. Helena uśmiechnęła się do Gotfryda.

Franek i ospowaty Eryk łysnęli żółtymi białkami w stronę Gotfryda. On wyjął zza ucha papieros i wsadził do ust. Chwilę grzebał w kieszeniach bluzy, szukając zapatek. Potem zapalił. Nowe, płochliwe cienie zatrzepotały na ścianie.

– Hm, tak – mruknął.

Helena znów uśmiechnęła się serdecznie i rozplaszczyła piersi pod szarą sukienką na przykrytym białym papierem blacie stołu. Seweryn zaskrzypiał stołkiem.

– Dobrze, popłynie z nami – czknął głośno Ryży, przykrywając usta dłonią wzdętą splotami żył.

Westchnęła i wyprostowała się. Skrzywiony Seweryn zwił w rulonik brzeg papierowej serwetki. Za bufetem zajęczał barman z twarzą kleryka. Płomyk lampki zawahał się w szklanej ostonie, płosząc przeźrocyste cienie.

– Spirytus do Szwecji. Nie szczekajcie tylko o tym – Gotfryd cmoknął papieros i, skrywszy się za dymem, wyciągnął rękę do Seweryna.

– No to załoga klar. Eryk ma przyprowadzić piątego – powiedział, podnosząc kieliszek – za nasze...

Zagulgotała wódka w przepalonych alkoholem przełykach. Szyby powoli niebieszczały. Świtato.

Gotfryd podniósł się, wywracając stołek.

– Chodź, Hela, poszukamy zagrychy.

Wstała posłusznie, uśmiechając się. Seweryn patrzył niespokojnie, szukając bez skutku stołu ręką z kieliszkiem. Barman zachrapał nagle za bufetem.

Odchodzili do lady, a Seweryn wykręcił się za nimi ze stołkiem, trzymając nadal kieliszek w wyprostowanych palcach.

Franek strzyknął śliną i podrzucił za odchodzącymi brodą:

– Przypominają sobie stare czasy.

Gmerali w cieniu bufetu, Helena śmiała się cicho. Potem położył rękę na jej kłębach i zakrzuszył się śmiechem. Seweryn zgrzytnął stołkiem o podłogę, odwracając się do stolika.

– Skąd się znają? – prychnął.

Ospowaty Eryk podniósł rzadkie białe brwi:

– Parę lat. Ona fajna dziewczyna, tylko się trochę puszcza.

Seweryn postawił wolno kieliszek i głosem niewątpliwie spokojnym zapytał:

– To o... – tu przetknął ciężko i głośno ślinę, aż spojrzeli na niego z uśmiechem – ...na z nim też?

Zaśmiali się pobłaźliwie, a Franek krzyknął:

– Ej, jak tam z zagrychą!

– Jest kielbasa – odkrzyknął Ryży, szczękając widelcem. Zaspany barman wylaż z za bufetu i, przecierając twarz kłeryka, szukał serwetki. Podniósłszy palec do góry, zapiał: – kielbasa raz – i nie zdążywszy zapisać, z ukłonem opadł za bufet.

Ryży z Heleną przynieśli kielbasę. Zaczęli pogryzać, czkając chwilami. Seweryn nie patrzył na Helenę.

Świt dobrze już wybielił okna i na ulicy turkotał jakiś wóz. Lampa bladła coraz bardziej, ale za to cienki początkowo dymek kopciucha grubiał teraz, przykrywając czarnym welonem pustą butelkę „Cinzano” na drewnianej półce.

Gotfryd z kompanami drzemał, dziobiąc grubym nosem niebieski kieliszek. Helena poruszyła się.

– Sewuś, idziemy?

Nie podnosząc głowy, mruknął:

– Możemy.

Kiedy wychodzili, Ryży podniósł czujnie głowę:

– Jutro o dziewiątej wieczorem wypływamy. Z basenu rybackiego, Helena wie.

Trzasnęły drzwi i wyduła się gazeta zastępująca szybę. Zimny wiatr wdarł się pod niezapiętą marynarkę. Seweryn otulił się.

– Czemu się dąsasz, chłopaku? – zapytała Helena, wsuwając mu rękę pod ramię.

Odsunął się niechętnie, ale zabrakło mu odwagi na impertynencję.

– Nie, nic – powiedział wykrętnie.

Szli, milcząc, pustymi uliczkami. Wykrzywiony chodnik wypierała silna gęsta trawa.

Doшли do przystanku tramwajowego i zatrzymali się.

– Zostaję – powiedział Seweryn – pójdę się przespać do znajomych.

Popatrzyła jakoś smutnie, a on zaczął śpiesznie liczyć izolatory na wystrzępionym przez kule słupie telegraficznym. Zajeżdżał, piszcząc na zakręcie, żółty pusty tramwaj.

Przyciągnęła go do siebie, wtedy zaczął wściekle całować. Chudy konduktor na stopniach tramwaju zachrzkał i zaśmiał się głupio.

– Do widzenia – powiedział Seweryn w stronę słupa telegraficznego.

Ścisnęła go za palce.

– Jutro na skwerze Kościuszki. Zaprowadzę cię potem na kuter.

Wskoczyła na schodki, cień pustego tramwaju objął jej nogi. Machnęła jeszcze ręką i uśmiechnęła się tym uśmiechem, który przedtem Seweryna wzruszał, a teraz wydawał się kretyńskim.

– Gównu mnie zobaczysz więcej – mruknął, kiedy tramwaj, zgrzytając i piszcząc, potoczył się pustą uliczką. Jakieś zmęczone mewy ciężko przeleciały nad Sewerynem opartym o próchniejący słup telegraficzny.

Było ciemno. Szare, zachmurzone niebo okrywało czarne miasto upstrzone mrugającymi światłami lamp elektrycznych. Nie skorzystał z prawa dżentelmena i nie ujął jej pod ramię. Przeskakiwali kawałki betonu z rozbitego ocembrowania basenu. Fabryczka mączki rybnej dudniła pracowicie, jej ciężki smród płynął na czarnych chlupoczących falach. Gdzieś w mieście pohukiwała syrena fabryczna.

Zaraz z brzegu, obok łodzi rybackich, kołysał się, skrzypiąc cienko, duży kuter. Seweryn strącił nogą ułamek cementu. Spadł bez plusku.

– Ej, Ryży – krzyknął, usiłując dociągnąć do kei kuter.

Helena, zmarznięta, smarkata w chusteczkę.

Ze sterówki wylazł cień.

– Seweryn?

Helena powiała chusteczką.

Cień grubym głosem Gotfryda zrzędził, wyplątując się ze zwojów niesklarowanych lin.

– No co, Ryży, wiatr zdycha – powiedział niedbale Seweryn, gotując się do skoku na pokład.

– Jeszcze powieje, nie bój się. Ale przynajmniej spokojnie wyptyniemy. Chyba nie boisz się?

Seweryn nie odpowiedział. Odwrócił się i, objąwszy Helenę w pól, pocałował w czoło. Położyła mu ręce na biodrach. Kiedy odsuwał się tyłem, ręce te osunęły się po wytłuszczonej marynarskiej bluzie i zadyndały niezdecydowanie jak u manekina. Milczała.

– No, serwus – powiedział Seweryn, wskazując na pokład.

Spod pokładu wyleźli: ospowaty Eryk, Franek i ktoś trzeci.

– To nowy. Hubert. Ale będziemy go nazywać Smutny. Znamy go już dawno – powiedzieli, półobracając się do faceta w wełnianej czapce z pomponem.

Na kei zakaszła Helena.

– Po co ona przylazła? – zdziwił się Franek. Zaśmieli się cicho z Erykiem.

Ryży zapalił światła pozycyjne.

– Jest pasażer – powiedział do Seweryna. – Klarujcie pokład, zaraz odptywamy.

Potem zeskoczył na keję.

Klarowali liny, pykając fajki. Seweryn wykręcał głowę i patrzył na keję, gdzie rozmawiał Ryży z Heleną. Zaśmiała się czasem. Rzuciło kutrem dość silnie, mimo że leżał w basenie. Cienie ich z przechylającego pokładu jakby się zbliżały do siebie, ale kiedy następna fala wyrównała kuter, stali znów na odległość ramienia od siebie. Tylko Ryży Gotfryd przesunął czapkę na tył głowy i rżał radośnie.

– Kto ten pasażer? – zapytał Seweryn, zmuszając się do roboty.

– Et, pewnie jakiś polityczny. Ryży go gdzieś wynalazł. Nawiewa do Szwecji – powiedział Franek, wieszając zwój lin na kołku. Eryk ze Smutnym przygotowywali się do zrzucenia cum.

Franek poszedł zapalić motor, a Seweryn wciągał stare opony samochodowe, które chroniły burtę przed ocieraniem się o keję. Na urządzenie meteorologicznym błysnął reflektor.

– Dziewięta! – krzyknął Seweryn i trzasnął wściekle oponą o pokład. Kiedy się odwrócił, Ryży ze stęknieniem lądował na pokładzie. Zagdakał motor, przerwał i zaniósł się zaraz wysokim terkotem.

– Załoga na pokład! – wrzasnął ważnym głosem Gotfryd i polazł do sterówki. Zrzućli z polerów cumy.

Helena machała ręką i coś wołała.

Seweryn niby to dla sprawdzenia want podszedł do burty. Z jazgotu motoru i chlusińców fal wyłowił słowo: czekam. Ale gdy się odwrócił, zobaczył w drzwiach sterówki Ryżego z podniesioną do góry dłonią.

Motor zaterkotał szybciej i dziób kutra wykręcił na morze. Seweryn, zawinąwszy nogawki spodni, polazł na oko. Obrócił głowę, opierając się o sztag. Zdawało mu się, że może jeszcze odróżnić na czarnym brzegu cień Heleny.

Minęli różniane falochronu pociętego przez wybuchy niemieckich min i światła Gdyni odplynęły na lewo do tyłu. Wrócił na rufę i zobaczył wtedy gościa w kapeluszu i z jasną ćwiartką papieru w ręce, opartego o bezanmaszt. Patrzył nieporuszony na jeszcze bliskie światła Gdyni.

Seweryn trącił zadumanego Smutnego.

– To ten pasażer?

Smutny kiwnął głową i podniósł do ust ostoniętego dłonią papierosa. Na krawędziach palców zagrało ciepłe czerwone światło.

– Hm – wzruszył ramionami Seweryn i wszedł do sterówki.

Ryży wisiął na kole, usiłując utrzymać się na kursie. Wysoka fala dobrze podzuciła kutrem.

– Zaraz wejdziemy na farwater – powiedział, przecierając okno sterówki. Igła busoli jeździła niezdecydowanie, ogarniając prawie ćwiartkę podziatki.

Seweryn wyszedł na pokład. Fala chlastała na deski, podmywając nogi gościa w szerokim kapeluszu. Zobaczywszy Seweryna, zamachał zachęcająco ręką. Kiedy Seweryn podszedł na szeroko rozstawionych nogach, macał się jedną ręką po kieszeniach.

– Zapali pan?

Wyciągnął pudełko papierosów, ciągle trzymając się prawą ręką masztu. Drżącymi palcami usiłował otworzyć pudełko. Seweryn pomógł i, wyciągnąwszy dwa papierosy, wetknął jeden w niewidoczne usta pasażera. Potem szukał zapalek. W zielonkawym błysku sztormowej zapalniczki dostrzegł czarniawą zmęczoną twarz za ciemnymi okularami.

– Konspirujesz się – zaśmiał się Seweryn.

Pasażer zamachał ręką, ale milczał.

Światła Gdyni wyskakiwały zza rufy i, zamrugawszy ciepło, ginęły znów w szumie przewalających się fal.

– Człowiek jest zawsze sam – poskarżył się pasażer. – Może tylko tu, na morzu, odczuwa potrzebę ludzi – zachłystnął się dymem i, schyliwszy się nad skaczącym pokładem, kaszłał długo. Potem wyprostował się i powiedział tajemniczo:

– Pan wie, jestem literatem. Pan pozwoli, że się przedstawię. Kostrzewski. Pan chyba coś mojego czytał? Drukowałem ostatnio wiersze w „Kuźnicy”.

Seweryn, milcząc, kręcił w palcach papierosa.

– Nie czytał pan? Nic nie szkodzi, jutro rano dam panu mój tomik.

Seweryn – przy przechylenie pokładu – złapał się masztu, przekrzywiając kapelusz na głowie literata. Splunął z wiatrem i twardo stwierdził:

– Kobiety to kurwy.

Literat przegiął się usłużnie i żwawo podjął dyskusję:

– Tak, to prawda. Już przez samą biologiczną strukturę są predysponowane do prostytucji. Zdaje się, Nietzsche powiedział swego czasu...

Fala chlasnęła o pokład, aż bryzgi piany opryskały twarze rozmawiających. Sewerynowi wydało się, iż w utłumionej ciszy dosłyszał daleki gwizd lokomotywy. Ale kuter znów wyrównał i na lewym wancie, jak na flectie, zaśpiewał wiatr.

– Czy nie uważa pan, że przy dzisiejszym poziomie intelektualnym społeczeństwa dyktat społeczny wykończy literaturę? – podjął znów troskliwie literat.

Seweryn huśtał się na palcach, trzymając się szotów. Zamyślony, wciągał policzki i wtedy różowe światełko papierosa wyjmowało z ciemności niespokojną twarz pasażera. Na trawersie zza want wyplłynęło czerwone światło. Jakiś statek mijał ich w ciemności.

– Panie, niech pan powie. Ja tu już nie mogłem wytrzymać tego życia w literackim getcie. Wiecznie, panie, jałowe dyskusje. Wszyscy chodzą z ważnymi minami, że niby coś robią. A co robią? Guzik. Człowiek się tym dręczy, nie ma z ludźmi kontaktu. Dlatego chciałem z panem porozmawiać. Czyż nie tak? – nastawał literat w przysiadzie.

Seweryn milczał.

Literat gorączkował się:

– Popada się w impotencję twórczą. Pan rozumie. – Tu przechylił się i od dołu zaszeptał Sewerynowi do ucha: – Te ostatnie wiersze, wie pan, to przedrukowałem z przedwojennego zbioru. I tak nikt nie wie. Panie, nie mogłem już wytrzymać tej atmosfery. Potrzebuję nowych ludzi, nowych perspektyw, silnych wrażeń – ostatnie słowa prawie

krzyczał, łykając gorzką, słoną wodę, która chlusnęła zza przechylonej burty.

Mijali mrugającą boję. Żółte światelko zapalało się i gasło miarowo. W oświetlonej szybko sterówki palce Ryżego zaciskały się na sprychach sterowego koła.

Seweryn wyprostował się i dmuchnął papierosa za burtę. Czerwony ognek odbił się od niewidocznej poręczy i zgasł w huczącej czerni.

– Co to mnie obchodzi... – powiedział na zawietrzną.

Pasażer zmieszał się i przełknął ślinę. Przechylając się, zaplątany w olinowaniu, ratował sytuację nieprzekonywajaco:

– To są ważne sprawy, panie.

Na kursie łyskała latarnia helska. O dwa rumby na lewo mrugała latarnia ze Szwedzkiej Góry. Drzewo masztu drżało pod palcami jak telegraficzny słup w Lidzie. Załoga siedziała w messie.

Seweryn podciągnął długie gumowe buty i otarł wilgotnym rękawem bluzy mokrą twarz. Milczeli dłuższą chwilę.

Potem literat powiedział cichym głosem:

– Panie, jest mi niedobrze.

Seweryn, patrząc po trochę jaśniejszym od morza niebie, mruknął:

– Będziesz rzygał. Pamiętaj, tylko na zawietrzną.

Pasażer kręcił się jeszcze chwilę niespokojnie i naraz z bulgotem rzucił się od masztu ku burcie. Zimny ciąg wiatru chlasnął go w wykrzywioną twarz i szeroki kapelusz zleciał na zwoje lin. Zakołował po zalanym wodą pokładzie. Literat rzucił się za nim na czworakach, uwiązał nogami w szotach, zawrzeszczał nieludzko i kiedy kapelusz spłynął razem z falą, trzasnął gołą głową o deski pokładu.

Seweryn, trzymając się want, pochylił się nad leżącym. Wymiotował ciężko, podrygując w cienkiej strudze wody. Przeszał na chwilę i popatrzył na Seweryna.

– Noga – zajęczał.

Seweryn wymotał nogę z lin i podniósł go za ramiona. Jeszcze parę razy zabulgotał.

– Panie, nie mogę.

Seweryn prawie poniósł jęczącego do schodków. Ściągnął po schodkach do messy i rzucił na koję. Eryk, Franek i Smutny leżeli na swoich kojach. Seweryn, trzymając się schodków, dyszał ciężko.

Pasażer poruszył nogą i zajęczał:

– Byłem o krok od śmierci.

Smutny wysunął na światło białą długą twarz o jajowatym czole otoczonym wianeczkiem czerwonych pryszczycy. W głębokich oczodołach czarne, nieruchome paciorki oczu. Dziwnie, bo nie ruszając wargami, powiedział:

– Boisz się pan śmierci. I tak się od niej nie wymigasza.

Seweryn odwrócił głowę. Wydała mu się niesamowitą nieruchoma twarz Smutnego w tym ciepłym, ciasnym kole lampy wiszącej u sufitu.

Ospowaty Eryk zatrzeszczał koją, odwracając się do światła:

– Nie pieprz, Smutny, o śmierci tutaj – pokazał czarną szczelinę iluminatora.

Smutny tkwił nieporuszenie z wyciągniętą szyją. Nie drgnąwszy, bez najmniejszego ruchu ust powiedział:

– Boicie się śmierci. Myślicie, że macie coś do stracenia? Co, inni mają za was umierać, nie mając trzydziestu lat? – ostatnie słowa prawie zakrzyzczał gardłowym głosem z półprzymkniętych ust. Seweryn odwrócił się szybko. Spodziewał się, że za Smutnym, na koi, ktoś siedzi, wyręczając w rozmowie tę białą makietę twarzy. Czerwone pryszcze jarzyły się na przezroczystym czole.

Kuter położył się i dobre wiadro wody chlusnęło z włazu. Błyszczące strużki rozplynęły się szybko pod kojami. Na wgiętym nosie Frankowego kamasza zostało trochę wody, w której odbijała się huśtająca się lampa. Seweryn zamknął klapę i przysiadł na mokrych schodkach.

Smutny rzucił się tyłem w cień. Rozwalił się w mroku, wysuwając spod koca długie, kościste sinawe stopy. Sztynne paciorki jego oczu mżyły matowym światłem.

Eryk wysunął głowę nad boczną deskę koi i klepnął się po ospowatym, czole:

– On ma szmergla na tym punkcie – powiedział, grzebiąc lewą ręką po kościstych piersiach.

Smutny zamiauczał swoim śmiechem.

Pasażer stękał na koi. Podnosił wolno nogę do góry i skrzywiony opuszczał ją ciężko na koc.

Poszukał na głowie kapelusza i poskarżył się:

– Zwichnąłem nogę.

Franek zachrypiął, wysuwając tyłek na światło:

– Wykuruję pana Szwedzi.

Literat westchnął:

– Już nie jest mi tak niedobrze. Tylko nie będę mógł chodzić.

Potem wysunął rękę i bawił się cieniem palców.

– Porozmawiaj pan z nimi. Oni wszystko mają porządnie, mądrze poukładane. Dialektyka. Czy mogą rozumieć, że to wszystko nie takie proste, że się człowiek męczy? – zalił się o swoich jakichś tam sprawach. Cień ręki, złamany na pustej koi Ryżego, gładził postrzępiony koc, z wypaloną pośrodku dziurą.

Rzadkie krople odrywały się od sufitu i bezszelestnie padały, migocząc, na podłogę. Eryk drapał się zamyślony po skudłanej głowie. Potem podniósł się na rękach zgiętych w łokciach i zapytał:

– Seweryn, no i co z Helą?

Seweryn kopnął wiaderko stojące przy schodkach, aż z blaszanym jazgotem potoczyło się pod drzwiczki kambuza. Ale zaraz spokojnie podniósł rękę do czoła i przeczesał mokrymi palcami zlepione włosy.

– Et, kurewka. Poznałem ją przypadkowo. Nie zadawałem się z nią nawet.

Lampa zahuśtała się niespokojnie, a Franek z Ospowatym zarechotali chrapowacie ze swoich koi.

Seweryn, zsuwając palce z czoła, poczuł na skroni twarde szpagat napiętych żył. Spojrzał po ich kojach, a oni jeszcze krótko zagdakali śmiechem, ukryci w gęstym cieniu koi.

Literat wyłazł ze swojej wnęki i zapytał zaciekawiony:

– Panowie mówicie o tej pani, która przyszła nas pożegnać?

Seweryn popatrzył na niego, rozpinając kołnierz pod szyją. Pasażer umknął w cień, z jękiem pociągając nogę.

Eryk wyciągnął papierosa, pogniół go w palcach i ustawił w ustach. Nie podnosząc się, zapalił zapałkę i łysnął oczami na messę.

– Zaraz zmienię Ryżego. Mówił, że po mnie ma wachtę Smutny.

Seweryn wstał ze schodków:

– Czy on da radę w taką pogodę.

– Umie sterować. Na kursie każdy frajer się utrzyma.

Potem zszedł z koi i wciągnął buty. Smutny nałożył też portki i szukał pod koją trzewików.

Eryk zapytał:

– Ty po co?

Nie odpowiedział. Poszukał czapki i polazł do schodków. Eryk poczłapał za nim. Seweryn przepuścił ich i kiedy buchnęło mokre zimno, wszedł na schodki. Pasażer zaśkomlał:

– Panowie, zamknijcie, zimno.

Pokład jeździł pod nogami jak karuzela. Ciężkie bryzgi wody chlastały skądś z góry, mocząc ubrania. Seweryn dopchał się za towarzyszami do drzwi sterówki. Ryży tkwił nad kołem, wodząc przekrwionymi oczami za zieloną igłą busoli.

– Jesteśmy na pełnym morzu – powiedział, pokazując na trawersie wiszące nad Helskim światło latarni ze Szwedzkiej Góry. Paciorki wody spływały po czarnych szybkach sterówki. Smutny stał w półotwartych drzwiczkach. Szare nogawice jego portek szarpały się na chudych nogach.

Eryk położył ręce na kole sterowym. Ryży przesunął palce ze szprych na pomiętą mapę. Milcząco pokazał czerwoną kreskę kursu. Eryk kiwnął głową i zakręcił kołem.

Ryży odwrócił się i położył rękę na ramieniu Seweryna.

– Rozumiesz, bracie, jak to jest na morzu. Nas tylko sześciu. Tu nawet światło jest żywe, nasze – pokazał odrutowaną żarówkę.

Seweryn wyduł wargi.

– Zamknij do cholery drzwi! – zniecierpliwził się Ryży.

Smutny spełnił rozkaz i wystawił do światła nieruchomą twarz. Gdzieś pod pokładem cicho buczały motory.

Ryży zaśmiał się:

– Helka kława baba, nie – podniósł półzwinięte dłonie, jakby ujmował piersi.

Seweryn wyprostował się.

– Mówiła, żeś ty cholernie ambitny chłopak, ho – śmiał się Ryży, a Seweryn odwrócił się i zobaczył w czarnej szybce twarz z wystającymi, twardymi mięśniami szczęki.



Wyszli na pokład. Ryży podniósł głowę i nasłuchiwał.

– Smutny, skocz na dziób. W kluzie jeździ łańcuch od kotwicy.

Smutny przewinął się pod wantami i wślizgnął się na dziób. Nie trzymając się lin, dopadł do kluzy i uchwycił się jej, kiedy kuter przechylił się na bok. Majtnął nogami nad czarną kipiela, ale zaraz wciągnął się na pokład.

– Uważaj, durniu, bo zmyje – ryknął Ryży.

Smutny zaśmiał się swoim kocim śmiechem. Kiedy wrócił, Eryk wykręcił się od koła i patrzył przez otwarte drzwi na nich, ujętych spłaszczonym prostokątem światła.

– Ja nie tchórzę tak jak ty – powiedział Smutny, przekrzywiając po raz pierwszy swoją wąską gębę w trupio zielonym, mdłym świetle źle domkniętej lampy pozycyjnej.

– I tak nic nie ryzykujesz – zarżał Ryży, prężąc się pod zwilgotniałym ubraniem.  
– Widzisz? – wsunął do światła swoją twarz o jasnym czystym czole, z niewidocznymi w nocy piegami.

Smutny pochylił się i wyskandował powoli:

– Nie ciesz się, bratku, bo nic nie wiadomo.

Chlusnęła fala, a Smutny śmiał się nieruchomą twarzą ujętą różańcem czerwonych przyszyków. Ryży nie wytrzymał jego wzroku i zaczął owijać dokoła dłoni postrzępiony koniec liny.

– Nie bądź taki klawy! – krzyknął ze sterówki Eryk i popatrzywszy chwilę, zatrzasnął nogą drzwi. Seweryn uczył zimno.

Podszedł do włazu.

– Leżmy do messy – usiłował przekrzyknąć wiatr. Kuter kładł się na burtę, aż relingi dziobały jaśniejsze trochę szczyty fal.

W messie było cicho. Franek drzemał z otwartymi ustami i szklanymi, niezastoniętymi jak u zająca oczami. Pasażer zajączał czujnie ze swojej koi. Ryży z głową czerwoną od nabiegłej krwi, zwisając przez właz, powiedział:

– Zobaczę do maszyny.

Seweryn rozbierał się powoli, usiłując nie zgubić pod nogami podłogi. Lampa monotennie huśtała się pod sufitem, wożąc po mokrej podłodze ostre cienie koi.

Kiedy Seweryn rozłożył się pod kocem, wlaź do messy Ryży, wycierając w pakuły zaoliwione palce. Rozebrał się szybko i przed oczami schowanego w cieniu Smutnego przeszedł, dumnie prężąc tyłek pod cienkim płótnem spodenek kąpielowych. Zakładając nogę na koję, odwrócił się i zawołał do Seweryna:

– No, jak się czujesz?

Seweryn podniósł głowę i oparł się na łokciu. Franek pochrapywał z cicha. Seweryn zaśpiewał:

Na wielkim okręcie  
wszyscy palą opium  
w małych fajeczkach,  
w których smutki topią.

Potem refren. Gładził przy tym włosy wolną ręką i tłumił głos, nadając mu ciepło lądowej knajpy. Ryży siadł na koi i huśtał nogę. Oczy mu się tylko zwięziły. A Seweryn, rzuciwszy koc, leżał w gaciach na ceratowej koi i śpiewał dalej:

Na wielkim okręcie  
wszyscy faję kurzą,  
okręt pali komin,  
cygaro duże...

Dwie następne zwrotki kończył już cicho, wyciągnąwszy rękę znad koi. Ryży zatrzymał podniesioną przy huśtaniu nogę i patrzył nieruchomymi oczami na dyndającą lampę pod sufitem. Kuter trzeszczał i skrzypiał cicho, pokonując ciężkie fale. Cienie koi jeździły jednostajnie po trzymetrowej mokrej podłodze.

Literat zastękał i głośno łykając ślinę, powiedział:

– Panowie, jakoś jest nieprzyjemnie. Czy kuter wytrzyma?

Nie odpowiedzieli. Ryży wsadził nogi w koję i nakrył głowę kocem. Seweryn, odwracając się do ściany, zamruczał prawie bez melodii:

Na wielkim okręcie...

Trzask otwieranej klapy. Po schodkach na tyłku zjeżdża w kalesonach Eryk. Bose nogi sine są od chłodu.

– Ej, wy! – krzyczy do śpiących.

Seweryn ledwie rozbudzony sięga pod poduszkę, gdzie leży ukryty sprężynowy nóż. Pasażer z wrzaskiem zrywa z siebie nowy siwy pled.

W kłapie ukazują się nogi w długich butach gumowych, potem tułów w ceratowym płaszczu, po którym spokojnie spływają strużki żółtawej wody. Potem biała makieta twarzy. Smutny.

Eryk w rozchełstanej koszuli wyciąga żylaste ręce i macza je w rzadkim świetle kołyszącej się lampy.

– Gdzie Ryży? – charczy. Z postrzępionych kosmyków włosów spływają na twarz duże krople wody i jak łyż toczą się po ospowatej twarzy, przystając na zadziarach blizn.

– Gdzie Ryży? – pyta wystraszonego pasażera, którego okrągłe błyszczące oczy przesuwają się po zasłanej kocem koi Smutnego, zatrzymując się na zmierzwionym pościaniu Ryżego.

– Nie ma – mówi pasażer i dotyka zmarszczonego czoła. Długie żółte palce drżą przy zmierzwionych włosach.

Eryk opuszcza ręce i podchodzi do koi Franka.

– Franek – zaczyna ciepło i trwożnie – Franek, gdzie jest Ryży?

Franek wysuwa głowę z mroku i patrzy na pustą koję skipera. Wszyscy zwracają tam oczy, a lampa usłużnie podjeżdża pod sufitem i opiera kanciasty rąb światła na szarym prześcieradle wymieszanym z kocem.

Franek podnosi gołe ramię z wytatuowaną niebieską rybą i opuszcza je na dawne miejsce, na nieobrubiony zielony koc.

Eryk rzuca się ku włazowi, wdrapuje się na czworakach po schodkach i głowa jego znika w ciemnej, zimnej klapie. Leżący patrzają na jego tyłek trzęsący się pod zrudziałymi zaszczanymi kalesonami. Literat drży z zimna i żółtymi rozczapierzonymi palcami przyciska do piersi nowy warszawski pled.

Kalesony wykręcają się frontem do światła i Eryk zbiega do messy. Kuter tarza się bez steru po głębokiej fali. Eryk nie może złapać podłogi przechylonej stromo pod nogami, pada na koję Franka. Podnosi się na rękach, ujmując deskę górnej koi i usiłuje coś powiedzieć. Z otwartej klapy chlusta ciężko woda, zalewając sztywną ceratę płaszcza Smutnego, który stoi oparty o ścianę. Nie rusza się, jakby był pionową osią, dokoła której kręci się skrzypiący, ciężki, zwariowany kuter.

Eryk prostuje się przy koi i uroczyście stwierdza:

– Zmyło go.

Cichy, koci śmiech. To Smutny. Literat drży, ciężko oddychając pod siwym kocem warszawskim. Odwracają głowy do Smutnego. Stoi wysoki, czarny. Biała twarz, z zagubionymi w cieniu wrzodzikami, jest nieruchoma. Śmiech ciężki, bezgłośny syczy się jakby z ciemnego rogu Frankowej koi. Półotwarte usta tworzą równy wąski prostokąt pod czarnymi punkcikami oczu.

Eryk zachrypłym, drapiącym głosem mówi wyraźnie w raptownej ciszy:

– On po-szedł sprawa-dzić cie-bie przy ste-rze... Gdzie on jest?

Hustająca się lampa rozcina na ukos cieniem papierową twarz Smutnego. Potem pochyla go popielatą krawędzią po wklęsłych policzkach pozbawionych zarostu i podnosi, jak woalkę, niepotrzebny cień. Rubinowe przyszyki jarzą się w dobrym, ciepłym świetle, a w ciemnym rogu koi znów przelewa się miauczący śmiech.

Eryk puszcza koję i zaciska ręce. Brunatne blizny po ospie zbiegają się przy ciemnych oczodołach, a kąciki ust z zaschłą pianą, drgając, jadą w dół.

– Ty foko francowata, wyrzuciłeś go znieuacka za burtę.

Koci, długi śmiech.

Seweryn opada na wypchaną sianem poduszkę. Z rozgryzionej wargi pada na brodę kropla krwi i rozchlapuje się jak kleks w szkolnym kajecie. Wiaderko z brzękiem odrywa się od drzwiczek kambuza i kołuje na środku podłogi.

Eryk zwija dłonie w kułaki i pochyla plecy. Biała twarz Smutnego oparta na sztywnej ceracie płaszcza mży niedobrym światłem. Eryk robi krok. Drugi...

Pasażer zrywa się, wyrznuwszy głowę w deskę górnej koi, aż ta z trzaskiem pęka.

– Jezus Maria, nie mogę – ryczy, wdzierając się po schodkach do włazu. Czerwone pięty łyskają różowo.

Eryk przystaje. Potem rzuca się do schodków i łapie żyłaste nogi porośnięte czarnym włosiem.

– Stój – rzeży, przypierając głowę nogi literata do zabłoconych desek schodów.

Nogi wrywają się i giną w czarnym otworze. Eryk wspina się za nimi, klnąc ciężko.

Seweryn wpada na pokład. Eryk trzyma za ramiona spokojnego już literata. Sterówka jest pusta.

– Rzucił ster, skurwysyn – mówi Eryk cichym głosem o Smutnym.

Seweryn łapie koło i pochyla się nad busołą.

– Eryk – oznajmia – okręciło nas o 180 stopni. Czy wyrównać?

Eryk podnosi głowę, puszcza jedną rękę pasażera, patrzy na skrzywione relingi.

– Nie trzeba, wracamy – macha ręką. Fala zalewa pokład, mocząc brudne nogawki kalesonów.

Pod stopami, przez deski pokładu, czuł Seweryn ciepłą wibrację motoru. Franek w sterówce wodził zmęczonymi oczami za nafosforyzowaną strzałką busoli. Eryk dzwonił żelaznymi sztabami, otwierając luk na forpiku. Zniknął potem w niewidocznym otworze i po chwili zachrzęściły ciężkie blaszanki ze spirytusem. Wyrzucał je na pokład, a one, zgrzytając i bełkocąc płynem, zsuwały się na konopiane liny. Gdzieś w wełniastych granatowo-olowianych chmurach bezanmaszt wydrapał samotną czerwonawą gwiazdę. Zamrugnęła jasno i zginęła zaraz za relingiem. Potem już się nie pokazała. Przykryły ją jednostajne, jakby nieruchome chmury. Fala się zmniejszyła i ostry wiatr północny poświstywał na rozedrganych wantach.

Ospowaty Eryk wyłazł z luku i zgięty nad blaszanką przelazł do burty. Seweryn oparł się o wanty.

Blaszanka chlupnęła w czarnej niepołykliwej fali jak ciało ludzkie. Seweryn rzucił się do tyłu: tępo uderzył głową o chropowate drzewo bezanmasztu. Ból nie znieczulił duszącego stukotu serca.

Smutny został z literatem w messie.

Seweryn, grzęznąc w linach, dołazł do Eryka. Ujął go za mokre ramię i otworzył usta. Ale nic nie powiedział. Bryzgnęło mu ostrą, gorzką wodą w twarz.

Pogładził brezent bluzy Eryka i, przekrzykując wiatr, który zatykał oddech, zachrypiął nieswoim głosem do ucha ospowatego:

– Ja ci pomogę.

I zaczął wydobywać z luku na forpiku bulgocące blaszanki, a Eryk nosił je do burty i wpuszczał do morza.

Dla odpoczynku Seweryn stanął i zagwizdał:

Na wielkim okręcie...

Ale złapał się zaraz na tym i odczuł znowu ciężkie duszenie.

– Psiakrew, uczepiła się – zaklął.

Potem patrzył jeszcze długo na huśtający się dziób, nad którym powinno ukazać się dalekie mruganie helskiej latarni.

[1947/48?]

## NOTA

Pierwsze opowiadanie ukazało się w „Po prostu”, w numerze 10–11 z 1947 roku. Od razu warto zaznaczyć, że opatrzone zostało innym niż rękopisowy tytułem: *Tak głupio wpaść*. Jest to z pewnością jeden z najwcześniejszych literackich tekstów Konwickiego – a nawet pierwszy, jeśli by brać pod uwagę kolejność publikacji, bo jesienny numer drukowanego regularnie dwutygodnika „Po prostu” ukazał się kilka tygodni przed numerem miesięcznika „Nurt”, w którym Tadeusz Borowski zamieścił debiutancki utwór Konwickiego *Kapral Koziołek i ja* (był to drugi, listopadowy, a zarazem ostatni numer pisma).

Znamienne, że obydwie te utwory powstały jakby „na zamówienie”. Określenie to zapożyczam zresztą z tytułu krótkiego ankietowego autokomentarza Konwickiego dotyczącego *Kaprala Koziołka* – opowiadania napisanego po tym, jak w warszawskiej siedzibie „Odrodzenia” ze strony Romana Bratnego padła pod adresem młodego redaktora „niedwuznaczna propozycja” publikacji prozy partyzanckiej<sup>1</sup>. Podobnie miało być właśnie z *Alkoholem* – przynajmniej w świetle relacji Konwickiego poczynionej w rozmowie z Adamem Michnikiem, w której użył tego samego sformułowania:

„Poznaliśmy się [z Witoldem Woroszyńskim], kiedy on jako sekretarz redakcji „Po prostu” przyszedł do „Odrodzenia” i zamówił u mnie jakąś prozę. Wyprodukowałem, straszna zresztą, w stylu już nie socrealistycznym, bo by to brzmiało dumnie, ale poniżej. Socrealizm plus straszna grafomania”<sup>2</sup>.

Skądinąd właśnie cytowany autokomentarz z miejsca przesądził o tym, że nie brałiśmy z prof. Tadeuszem Lubelskim pod uwagę tego opowiadania przy komponowaniu *Wiatru i pyłu* (z wczesnych opowiadań autora ukazały się tu, oprócz otwierającego tom *Kaprala Koziołka*, również *Ogródek z nasturcją* i *Zachód słońca*, a także socrealistyczny – traktowany jako swego rodzaju świadectwo czasu – *Tornister hutmistrza*). Tego typu wypowiedź autora absolutnie dyskwalifikowała pomysł przedruku.

I właściwie trzeba by uznać, że winna ona dyskwalifikować przedruk i w tym miejscu, nawet w charakterze materiału li tylko archiwalnego. Do sięgnięcia po to opowiadanie ośmiela mnie jednak przekonanie, jakiego nabrałem już po publikacji *Wiatru i pyłu*: że podczas rozmowy z Michnikiem mogło zajść pewne nieporozumienie. Sądzę, że mówiąc o pierwszym spotkaniu z Woroszyńskim i o artystycznym owocu „zamówienia” – mówiąc o nim w latach 90. – Konwicki mógł myśleć o innym opowiadaniu, to znaczy mógł łączyć w pamięci dobrze zapamiętaną scenę biograficzną i jedno z kilku powstałych w tamtym czasie opowiadań. Nie wydaje mi się, by *Alkohol* – skądinąd tekst

<sup>1</sup> Zob. *Na zamówienie* [w ankiecie: „Wielki debiut”], not. A. Markowski, „Kulisy” [dod. do „Expressu Wieczornego”] 1973, nr 51–52; przedr. T. Konwicki, *Wiatr i pył*, teksty wybrali i do druku przygotowali T. Lubelski i P. Kaniecki, Warszawa 2008, s. 366–367.

<sup>2</sup> A. Michnik, *Na świecie jestem przejazdem*, „Gazeta Wyborcza” z 7–8 XII 1991.

inkrustowany specjalnie wykonanymi w tym celu ilustracjami, a którego pomysł fabularny wzięty został z doświadczenia autopsyjnego – zasługiwał na tego rodzaju ocenę. Jak najbardziej natomiast zasługuje na nią na przykład *Tajemniczy kuter*, sześciopodcinkowe opowiadanie dla młodzieży, również napisane po zachęcie Woroszyńskiego, tym razem jednak, wolno sądzić, wyłącznie w celach zarobkowych, traktowane ewidentnie jako tak zwana fucha literacka<sup>3</sup>. Niewykluczone zresztą, że Konwicki w rozmowie z Michnikiem scharakteryzował w ten sposób i inne opowiadania z tamtego czasu, na przykład napisany razem z Woroszyńskim socrealistyczny tryptyk *Ludzie spotkani na Śląsku*<sup>4</sup>.

W każdym razie *Alkohol szkodzi*, jakkolwiek niewątpliwie artystycznie nie tak interesujący jak choćby *Kapral Koziołek* czy późniejszy *Zimowy zmierzch*, wydaje się tekstem wcale ciekawym, a na pewno godnym zwrócenia na niego uwagi przez czytelników i badaczy już choćby jako integralnie przynależny do ówczesnej twórczości Konwickiego, i to w kilku ważnych punktach. Po pierwsze, jest to opowiadanie bardzo silnie korespondujące z późniejszą powieścią *Nowe dni*, niepublikowaną nigdy w całości ze względów cenzorskich, włożoną przez autora we fragmentach do *Wschodów i zachodów księżycy*. *Nowe dni* również ukazywały świat tak zwanych ziem odzyskanych, na których autor spędził kilka pierwszych powojennych miesięcy, pracując przy inwentaryzacji mienia polniemieckiego. Już na pierwszy rzut oka uderzają też pojawiające się w obydwu utworach tożsame elementy, by wymienić najbardziej wyraziste: motyw Ślązaczki, wdowy po powstańcu śląskim, motyw przeszłości partyzanckiej głównych bohaterów czy w ogóle cała problematyka szabru (w *Nowych dniach* wątek transportu szabrowego zawiera również elementy podane w poetyce sensacyjnej). Poza tym wiele motywów opowiadania odsyła do późniejszej twórczości autora – choćby akcentowane wielokrotnie kiczowate oleodruki, które przywodzą na myśl te z *Sennika współczesnego*, a zwłaszcza zorientowanego na kicz *Salta*; także wiele wyrażań stosowanych w narracji do metafor (zwłaszcza „mżenie”) zapowiada warstwę językową dojrzalszych utworów.

Po drugie, opowiadanie to przypomina nieczęsto oświetlany w badaniach nad twórczością Konwickiego aspekt pierwszych utworów autora, mianowicie pewną fascynację bohaterami antypatycznymi. Publikowany jako pierwsza część niniejszego materiału zapis rozmów Jerzego Markuszewskiego z autorem *Zwierzoczkoupiora* kończy się uwagami, że u Konwickiego nie ma bohaterów jednoznacznie negatywnych – jest to jednak sąd

<sup>3</sup> Powstanie *Tajemniczego kutra* (druk w „Pokoleniu” w styczniu 1949, nr. 1–6; rys. M. Majewski) naświetla zachowana w domowym archiwum p. Krzysztofa Weissa karta Woroszyńskiego do Konwickiego – wysłana latem 1948 r. do pp. Weissów, których gdański adres podał Konwicki widocznie jako kontaktowy na wakacje. Pisze tu Woroszyński: „A teraz propozycja następująca: napisz sam albo z Czeszką, albo Czeszko sam, albo w innym możliwym wariacie nowelę szpiegowską, sensacyjną, sportową lub coś w tym rodzaju, 20–25 str. maszynopisu, dającą się podzielić na 4–5 odcinków tak, aby zakończenie każdego z nich trzymało w napięciu. Bez erotyzmu, z podbudówką ideologiczną, humorem, pożądanym bohater młodzieżowy. Termin: koniec miesiąca. Zawiadom mnie natychmiast, czy mogę na to liczyć. Pójdzie to w nowopowstającym tygodniku ilustrowanym, wydawanym przez Związek Młodzieży Polskiej. Ja wzięłam tam kierownictwo działu literackiego. Reflektuję również na krótkie (5 str.) opowiadania, humoreski etc. Można zarobić! A poza tym pal Cię licho, złam kark i zaraż się kasmoskim [?] trypem. Czekam na odpowiedź. Ściskam łapę”.

<sup>4</sup> T. Konwicki, W. Woroszyński, *Trzy listy*, „Walka Młodych” z 1948, nr 25; *Zuzanna. Ludzie spotkani na Śląsku* (2), „Walka Młodych” 1948, nr 28–29; *Towarzysz Walka*, „Walka Młodych” 1948, nr 28–29. Nb. w PBL odnotowane zostało tylko to trzecie opowiadanie.

tylko częściowo zgodny z prawdą, odnoszący się raczej do dojrzałej twórczości Konwickiego, i to w dodatku do utworów powstałych właściwie od lat 60. (bo przecież bynajmniej nie do powieści *Dziura w niebie*, w której bohaterów takich jest wielu). W *Rojstach*, w *Nowych dniach*, nie mówiąc już o utworach socrealistycznych, autor poświęca wiele uwagi przemocy, podłości, wyrachowaniu, a krótkie formy prozatorskie, takie jak te opublikowane wyżej czy też wzmiankowany *Tajemniczy kuter* stanowią do nich ważką głosę. W późniejszej twórczości Konwickiego zmieni się to o tyle, o ile złe cechy niektórych postaci zawsze zostają jakby zniuansowane, zrelatywizowane, w jakiś sposób usprawiedliwione; zresztą jest to właśnie chyba jeszcze bardziej pesymistyczne – „usprawiedliwienie” stanowi bowiem często sama wizja świata, który według Konwickiego jest w ogóle pełen podłości i którego mieszkańcy nigdy nie są do końca ani zli, ani też dobrzy. Najpełniej wyrażone zostaje to w *Małej Apokalipsie*: „Ludzie! (...) Antychryst zstąpił na ziemię! (...) Ludzie, popatrzcie na siebie! Rozdzielił się na was wszystkich i na mnie. Nie oczekujcie Antychrysta, bo on już jest na ziemi. Antychryst rozcieńczony, rozdrobniony, zgranulowany. Miniantychochryst w każdym z was i we mnie”<sup>5</sup>.

Obydwa aspekty wpisujące *Alkohol szkodzi* w ówczesną twórczość Konwickiego, i w ten sposób zdecydowanie przesądzające o ich wydrukowaniu w „Tekstualiach”, można odnieść jednocześnie do drugiego opowiadania, którego niniejsza publikacja jest pierwodrukiem, *Na wielkim okręcie wszyscy palą opium*. Mamy w nim do czynienia i z wyżej omówioną tendencją ukazywania postaci mrocznych, niepokojących – także w tym wypadku wywodzą się one z tak zwanych marginesów – jak również z tematyką marynistyczną. Ta druga kwestia może być zresztą dla czytelnika pewnym odkryciem, bo raczej nie widzi się w Konwickim marynistę. Jest to poniekąd zrozumiałe: w reportażu *Szkice z Wybrzeża* (przypomnijmy: debiut Konwickiego) koncentruje się autor raczej na oglądanym Trójmieście, aniżeli na samych warunkach podróży (podróży wodnej; przy czym jej charakter podkreślają załączone do tekstu rysunki), natomiast wzmiankowany wyżej *Tajemniczy kuter*, niezmiernie bliski *Okrętowi*, jest utworem przygodnym, nieznaczącym, stąd zapomnianym. Socrealistyczne zaś reportaże o żegludze rzecznej na Wiśle, jeśli są pamiętane, to nie ze względu na ukazane w nich na przykład ciekawe sylwetki marynarzy, ale jako teksty propagandowe – służące idei regulacji rzek<sup>6</sup>, do których zresztą wkrótce Konwicki się zdystansuje w *Senniku współczesnym*, posługując się symbolem złowieszczęj tamy. *Na wielkim okręcie*, obok *Szkiców z Wybrzeża*, niewątpliwie wyróżnia się na tym tle, co więcej, zapowiada przyszłą, dojrzałą twórczość Konwickiego: *Wniebowstąpienie* z jego całą symboliką akwaticzną, motywami marynarzy oraz całą niecenzuralną opowieścią o zesańcach z Oceanu Arktycznego; niewątpliwie opowiadanie to jest również intrygujące w kontekście *Wniebowstąpienia*, jeśli spojrzeć na jego „obrazki knajpiane”.

<sup>5</sup> T. Konwicki, *Książki wybrane*, Warszawa 2010, t. VII: *Mała Apokalipsa*, s. 125–126.

<sup>6</sup> T. Konwicki, *Niezwykłe trzy dni*, „Trybuna Ludu” z 21 X 1952, nr 294; T. Konwicki, *Podróż w lata oszczędzające naszego wieku*, „Nowa Kultura” 1952 nr 46 – przedr. [w:] T. Konwicki, T. Papier, *Nad Wisłą i Pilicą*, Warszawa 1953.

Okręt na pewno powstał w pobliżu czasowym *Alkoholu* oraz *Ogródka z nasturcją*. Znamienna jest „ruchomość” imion postaci tych opowiadań (związana też zapewne z istnieniem ich prototypów w realnym świecie). W zdaniu „Helena wzruszyła ramionami” – w rękopisie wcale nie widnieje „Helena”, ale „Ewa” (por. imię postaci z *Ogródka*<sup>7</sup>). Z kolei w rękopisowym zdaniu: „Seweryn przystanął i podniósł daszek czapki” – omyłka pojawiła się przy imieniu bohatera, tu nazwanego „Wiktorem”.

Opowiadanie nie znalazło się w *Wietrze i pyłe*, ponieważ dostęp do szafy z autografami Tadeusza Konwickiego zyskałem dopiero niedawno. Na przełomie wiosny i lata 2011 roku pokazałem je, przepisane, autorowi – razem z innym jeszcze opowiadaniem, krótkimi *Krajobrazami*. Pisarz zareagował, zgodnie ze swoją naturą, bardzo żywo, żartując z moich upodobań „hazardzisty” i podkreślając, że są to upodobania dla niego właściwie groźne. Z wywodem tym można zapoznać się w książce *W pośpiechu*, cyklu wywiadów, jakie przeprowadziłem z autorem *Kompleksu polskiego*, które ukazały się w listopadzie b.r. (wyd. Czarne) – bo to właśnie na okoliczność tych spotkań opracowałem roboczą podstawę tekstów. Zyskałem wówczas ciekawy autokomentarz:

„Wie pan, czytałem – to znaczy przesadzam, że czytałem, przeglądałem, bo nie jestem w stanie czytać – jak obce teksty. Obce teksty, z tym że charakter pisma jest mój. Nie dość, ja się przyznam, że w tej obcości czasem taki zalśni rysik psychologiczny dzieciństwa, nie wiem, młodości. Czyli nie jestem w stanie się wypierać, ale odłożyłbym to chętnie do akt, a nawet może spalił”.

Zyskałem także możliwość opublikowania – w samej książce – *Krajobrazów*, mimo że tylko we fragmentach (komentarz z *W pośpiechu*: „Ponieważ to, co miałem do powiedzenia, czy co myślałem, to już utrwaliłem na żółtym papierze i w jakiś sposób zobowiązałem się społecznie, że może istnieć, więc tu na pana sumienie oddaję”). I zyskałem dobry punkt wyjścia do przyszłych pertraktacji o zgodę na druk *Okrętu* („Oczywiście ten drugi tekst, to jakies *Na wielkim okręcie*, to prawie paręset stron, więc jako przykład-dowód medyczny jest troszkę za obszerny” – to ciąg dalszy zacytowanej przy ostatnim zdaniu wypowiedzi).

Prezentowane tu opowiadania poddane zostały tylko podstawowej korekcie redakcyjnej: zmodernizowano pisownię i interpunkcję. Uznawałem za podstawę tekstu ich wersję drukowaną / maszynopisową. Poza, oczywiście, ewidentnymi omyłkami odczytania rękopisu (by podać przykłady z opowiadania pierwszego: „Mietek zasiadł do kierownicy z dobrym szmerem w głowie” – zamiast: „drobnym”, jak w pierwodruku; mijane drzewa są „żółknijące”, jak w rękopisie, a nie „żółte”; Edek krzyczy do Mietka po wypadku: „Ruszysz się, ty draniu, czy nie?” – co zresztą jest o wiele bardziej wieloznaczne, skoro to właśnie Mietek nie chce odjechać bez udzielenia pomocy potrąconemu – niż pierwodrukowe: „Ruszysz się, ty durniu (...”). W wypadku *Okrętu* stwierdziłem, że wypada mi też, gdy podaję do druku tekst, przyjąć w imieniu autora sugestie niektórych korekt, jakie dawał pierwszy redaktor tekstu (najpewniej Wiktor Woroszyński) – kwestionujący

<sup>7</sup> Zob. także wspomnienie krakowskiej studenckiej miłości autora, T. Konwicki, *Książki wybrane*, t. VI: *Kalendarz i klepsydra. Kompleks polski*, s. 221–222.



naturalizmu. W akapicie „Po namyśle pochylił się i pocałował ją w usta. Potem dłużej i sumiennie. Odwrócił się i pokazując gwiazdy, otarł wargi” – drugie cytowane zdanie brzmiało pierwotnie: „Potem dłużej i sumiennie, aż wciągnął do ust jej ślinę”. Uwzględnione zostało również zalecenie eliminacji innego akcentowania wydzielin; kiedy Seweryn pyta w barze o Helenę i Ryżego: „Skąd się znajq?” i spluwa, pierwotnie towarzyszył dialogowi opis: „Małe banieczki śliny zgasty zaraz na przemoczonym wódką papierze stolika”<sup>8</sup>. Tak samo skróciłem zdanie pierwotnie brzmiące: „Jeszcze parę razy zabulgotał, rozartł na twarzy resztę wymiocin i wymamrotał” (wykreślona została końcowa część od „rozartł”), a także usunięte dookreślenie z lakonicznej charakterystyki ubrania Eryka: jego kalessony były w rękopisie nie tylko zrudziate, ale też „zaszczane”. Redaktor nie wytał przy tym drobnej omyłki autorskiej: pozbawiony sternika kuter obróciło o 180, nie o 360 stopni – naprawiłem ten błąd.

Poza wyżej wymienionymi, na maszynopisie widnieją i inne uwagi redakcyjne. Trudno jednak do nich się zastosować, nie mają one bowiem charakteru konkretnej rady. Pierwsza z nich brzmi raczej jak uwaga czytelnicza: „7. raz całujel!” (widnieje przy scenie pożegnania bohaterów przed wypłynięciem w morze). Podobnie w scenie zbliżenia pozostawiłem zdanie, które wskazane zostało pytańkami („??!”): „Ona głąskata go po karku, a potem wsadziła rękę pod koszulę (...)”. Innym tego rodzaju komentarzem jest odnoszące się do zamykającego przedostatnią część utworu zdania „Fala zalewa pokład (...)” – pytanie: „Dlaczego to nie jest tytułem?” (o ile dobrze odczytuję ostatni wyraz). W wypadku zaś zakwestionowanego brutalnego zdania Seweryna: „Kobiety to kurwy” – nie interweniuję, ponieważ nie podejmuję się szukać synonimu (tym bardziej że Seweryn stwierdza to „twardo”, jak określa narrator). Nie interweniuję też przy niepodobającym się redaktorowi, ale niedającym się wykreślić bez zaburzania logiki opowiadania dialogu Ryżego: „– Helka klawa baba, nie – podniósł półzwinięte dłonie, jakby ujmował piersi”, ani przy zdaniu: „Seweryn wsadził już rękę za pończochy Heleny”.

Warto na marginesie odnotować kilka przykładów zmian, jakie wykazują maszynopis i pierwodruk w stosunku do rękopisów (zmiany te pozostawiałem, poza nielicznymi wyjątkami, o czym niżej). W uwadze Edka: „Trzeba być jednak wariatem, żeby zabierać się do wypalonych domów (...)” – zamienione zostało określenie brzmiące w rękopisie: „frajerem”. Po wypowiedzi bohatera o urzędniku: „Błyszcząca inteligencja w potarganych kalessonach” – w rękopisie był akapit: „Wiktor ujął mnie pod rękę”. W zdaniu: „Nie lubiłem widoku ich zmęczonych sylwetek: przypominały mi lata wojny” – w rękopisie kończyła stwierdzenie dodatkowa, zbędna uwaga: „kiedy musiałem ciężko pracować”, i podobnie zbędna była pierwsza część odpowiedzi Wiktora, gdy Edek stwierdzał, że ich gospodyni nazywa się Skowronek: „Nowinę mi mówisz. Przecież na nakazie kwaterunkowym masz też jej nazwisko”. Także gdy narrator powiadał w rękopisie: „Podniosłem głowę.

<sup>8</sup> Autor chętnie sięgał w okresie debiutanckim po naturalizm – warto zwrócić uwagę na wspomnienie prac redakcyjnych Tadeusza Borowskiego przy *Kapralu Koziółku*: „Krytyka Tadka wypadła pozytywnie. Niecierpliwie, szybko zlikwidował naturalistyczny chaos w mojej pierwszej prozie. Z otówkiem w ręku, w jasnym kręgu światła metalowej, technicznej lampy tłumaczył mi niebezpieczeństwo naturalistycznej manieri wynikającej z nieskrystalizowanego jeszcze światopoglądu” – T. Konwicky, *Na Kaliskiej, Wiatr i pył*, s. 84.

W górze było czysto. Pod sztywnym błękitem płynęły białe jesienne obłoki” – redaktorowi druku niepotrzebne wydały się słowa: „W górze było czysto”. Zdanie z rozmowy o tak zwanych ziemiach odzyskanych: „Zrobili Niemców na szaro” – brzmiało w rękopisie: „Zrobili tu Szwabów na szaro” (w rękopisie zresztą wszystkie takie określenia Niemców są pisane z wielkiej litery; w pierwodruku z małej, co utrzymałem, przyjmując, że taka pisownia lepiej oddaje intencję użycia – pogardliwego). W pierwodruku po zdaniu o barach i szynkach: „powstały razem z pierwszymi komórkami władzy państwowej” – usunięto też rękopisową uwagę: „Zresztą słusznie”.

W drugim natomiast opowiadaniu, w dialogu Smutnego z Ryżym, Smutny mówi: „Ja nie tchórzę tak jak ty”, podczas gdy w rękopisie deklarował patetycznie: „nie uciekam od śmierci”. Z kolei w dialogu Seweryna z tajemniczym pasażerem literatem, gdy ten drugi się przedstawia, mówi: „Pan chyba coś mojego czytał? Drukowałem ostatnio wiersze w »Kuznicy«” – tak brzmi wersja rękopisowa, w maszynopisie widnieje już jednak zamiast „Kuznicy” – „Tygodnik Literacki”; w tym wypadku przywrócone zostało brzmienie pierwotne, zgodnie z życzeniem autora, który wyjątkowo wypowiedział się w tej kwestii (zresztą w komentarzu, który znalazł się w książce *W pośpiechu*).

Przy czym także w samym rękopisie *Okrętu* można prześledzić zmiany – autorskie – polegające na skreślanu zbędnych zdań (w wypadku *Alkoholu*, skoro nie dysponujemy maszynopisem, nie wiemy, jakie zmiany wprowadził sam autor, a jakie redaktor). Na przykład skreślone zostało zaraz w drugim akapicie zdanie wyjaśniające przyczynę długiego rozładunku „Victorii”: „Dźwigi nabrzeżne ładowały węgiel na angielskie węglowce, więc »Victoria« zdana była na własne krany”. Autor usunął też w rękopisie nawiasową uwagę charakterologiczną dotyczącą głównego bohatera, gdy dokonuje on „bliższych oględzin” Heleny: „(ostrożnych, Seweryn był mistrzem obserwacji, jego rola życiowa ograniczała się tylko do obserwacji)”. Gdy natomiast Seweryn, kończąc palić papierosa, mówi zaczepionej Helenie, że zmarznie na plaży, narrator zdradza: „Najchętniej by w tej chwili uciekł”, kiedy zaś przekracza później pierwsze progi intymnej śmiałości i wyznaje Helenie, że jest sympatyczna, pierwotnie dialog ten poprzedzony był komentarzem narratora: „Seweryn szalał z odwagi”.

Na zakończenie odnotujmy, że pierwodruk *Alkoholu* (to jest *Tak głupio wpaść*) opatrzony został przypisem redakcyjnym: „Opowiadanie wyjęte ze zbioru pt. »Moje trzy młodości«, który wkrótce ukaże się nakładem Sp. Wyd. »Płomienie«”. Książka taka nigdy się nie ukazała, a przypis ten jest jedynym znanym mi śladem takiego projektu<sup>9</sup>. Nie wiadomo właściwie – ten jedyny trop nie wyjaśnia tego jednoznacznie – czy miał to być tom autorski, czy zbiór tekstów różnych pisarzy; forma tytułu przemawia jednak za tą pierwszą ewentualnością (jeśli tak, byłby to książkowy debiut pisarza, na który składające się materiały powstały nawet przed *Rojstami*). „Trzema” etapami „młodości” wskazywanymi przez tytuł byłby, jak można się domyślać, okres partyzancki,

<sup>9</sup> Nie odnalazłem na przykład śladu takiej książki w materiałach cenzorskich dotyczących księzek wydawnictw, których nazwa rozpoczyna się na literę P, za rok 1948 – Archiwum Akt Nowych, akta Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, sygn. 173 (32/42).

okres tużpowojenny oraz okres poszukiwań ideowych. W 1947 roku zostały opublikowane tylko trzy opowiadania Konwickiego: *Kapral Koziółek i ja*, *Tak głupio wpaść* oraz *Ogródek z nasturcją*, czyli teksty odpowiadające właśnie domniemanej formule książki, a także odpowiadające ilością tekstów zawartej w tytule liczbie. Być może jednak w skład tomu mogłoby wchodzić i *Na wielkim okręcie...*, którego daty napisania, jak wzmiankowałem wyżej, nie znamy, a być może także reportaż literacki *Szkice z Wybrzeża*; być może zresztą również wiersze Konwickiego, które autor wówczas pisywał<sup>10</sup>.

Niewątpliwie rekonstruowana idea tego tomu (bez pewności, że hipotezy są słuszne) odzwierciedla dążenia artystyczne Konwickiego z okresu debiutanckiego, dążenia ukazania w tekstach literackich swego doświadczenia<sup>11</sup>. Realizował je autor w całej pełni jeszcze w *Rojstach* czy *Nowych dniach* i po etapie socrealistycznym powrócił do pojmowania pracy prozatorskiej jako przetworzonego artystycznie, ale jednak wciąż opartego na prawdzie autopsyjnej świadectwa.

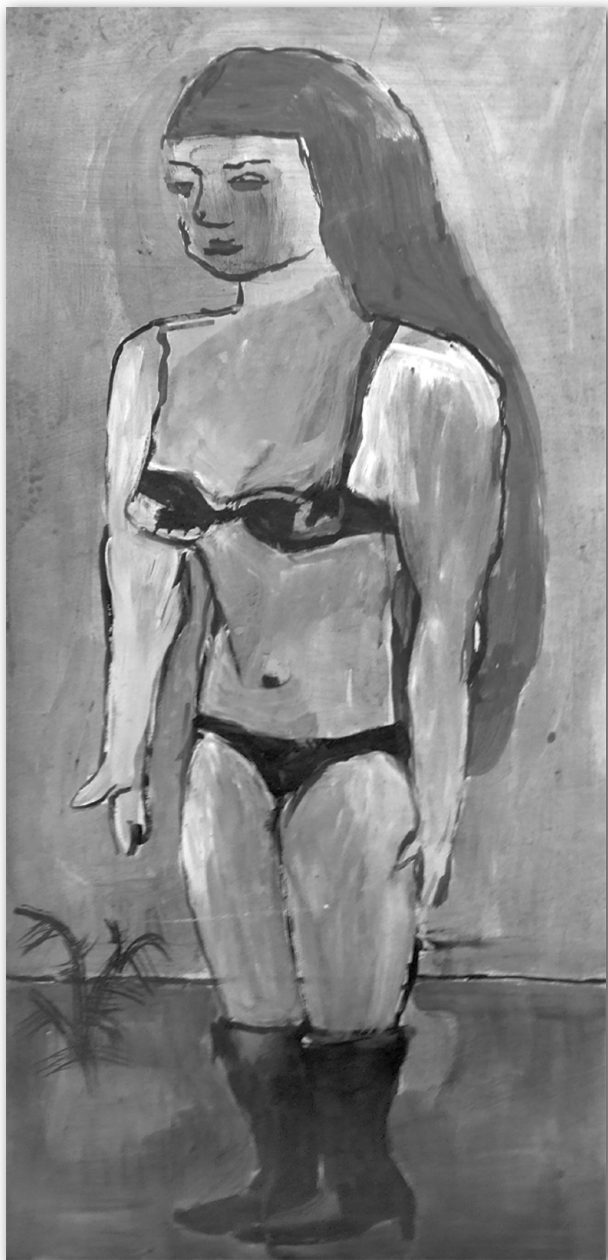
[1947/48?]



Hana Puchová, z serii *Princezny (Księżniczki)*, akryl na płycie pilśniowej, 70x25 cm, 2002

<sup>10</sup> Zob. *Oleodruk ogrodu saskiego*[!], *Sztuczne westchnienie, Nikte światła*, „Dziennik Literacki” z 6–12 VI 1947, nr 14; wiersze zostały przez autora wykorzystane w *Nic albo nic*. W Muzeum Literatury w Warszawie, w archiwum Lesława M. Bartelskiego (teczka z sygn. 5733), znajdują się inne wiersze Konwickiego z tego okresu, zostały one opublikowane w wywiadzie rzece *W pośpiechu*.

<sup>11</sup> Interpretację tej twórczości głównie pod kątem przekazywania doświadczenia stanowi monografia Tadeusza Lubelskiego – T. Lubelski, *Poetyka powieści i filmów Tadeusza Konwickiego (na podstawie analiz utworów z lat 1947–1965)*, Wrocław 1984.



Hana Puchová, z serii *Princezny (Księżniczki)*, akryl na płycie pilśniowej, 70x25 cm, 2002